№ 45. Warszawa, dnia 30 Października (11 Listopada) 1874 r. Rok X.—Tom X.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowinyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

SŁOŃCE NAD LASEM.

Znam takie miejsca, gdzie grecka Najada
Zdaje się mieszkać w lesistej kotlinie;
Tarasem wzgórków kręta strużka płynie
I w zarośnięty parów nagle spada,
A ta troszeczka wody, co się pieni,
Dziwną ma piękność w śród leśnej zieleni.

Lecz co warunkiem jest piękności owej?
Pytałam nieraz, w zadumie stojąca.
Gdyby na stary, smętny las sosnowy
Nie padał z góry złoty promień słońca,
Gdyby nie światło w grze swojej uroczej,
Cóżby tu ludzkie zachwycało oczy?

Drobna kaskada jak srebro połyska,
Że przecież parów jest drzew masą ciemną,
Zda się, że jasna woda tam się ciska,
Pchana w dół jakąś potęgą tajemną,
I tak stworzona tragedya natury
Ma w sobie patos boleśnie ponury.

Widz się uczuwa smutnie zatroskany,
Słucha z litością jak głosy fal płaczą,
Myśli o biednej istocie świetlanej,
Gdy w piekło cieniów zapada z rozpaczą,
I mar żałosnych orszak go oblega....
Lecz oto strumień na jasność wybiega—

Parów się łączką stał i jest sielanka,
Mająca słodki wdzięk greckiego mytu:
Bogiń ka leśnej wody ma kochanka,
Który jest złotym Febem wśród błękitu.
Zły olbrzym w knieję unosił ją ciemną,
Ale uciekła, nie chcąc być wzajemną.

I piękniej, niźli Prozerpiny dzieje,
Akt się ostatni dramatu rozgrywa:
Słońce całuje wodę, ta się śmieje,
Gdzieś na krzewinie szare ptaszę śpiéwa,
A mnie zachwyca znów ta piękność inna,
Co wdzięk wesoły rozlewa niewinna.

Lecz wiem już teraz, że wszystkie te zmiany
Maluje światło, grające w przestrzeni:
Czy był blask złoty, spokojnie rozlany,
Czy promień, który łamał się wśród cieni,
Zawsze to jedna i ta sama siła
Dała koloryt i wyraz stworzyła.

A nie inaczej jest i z ludzkiem życiem:
Co się w zakresie jego pięknem mieni,
Jest takim samym czarem—jest odbiciem,
Z ducha naszego wybłysłych promieni:
Gdy z głębi piersi trysną nam gorące,
Świecą nad życiem, jak nad lasem słońce.

Wtedy tęczowem otoczeni kołem
Widzim świat cudów—boginie i bogów!
Zstępują do nas i mieszkają społem,
Ziemię do niebios przybliżając progów,
A w ideału szaty obleczona,
Piękność wykwita z martwych kształtów łona.

M. Ilnicka.

WYKSZTAŁCENIE KOBIETY
we Włoszech.

(L'instruction publique en Italie, par C. Hippeau.—Mädchenerziehung und Schulwessen in Italien, v. Magdalena Gonzenbach).

Nowożytne życie Włoch datuje się dopiero od 1859 roku. Przedtem było to raczej nieżycie i gdy królestwo włoskie zostało nagle stworzonem, duch włoski był podobnym do człowieka, który spał za długo i w śnie tym osłabł, zleniwiał. Zbudzony jeszcze ziewa i ramiona przeciąga, nie umie się wziąść do pracy i prawie nie może, bo nerwy są jeszcze w letargu, muskuły jeszcze się naprężyć nie dają. Przytem miał on przed sobą w każdym kierunku pracę olbrzymią. Średnie wieki, z końcem których gieniusz włoski zamarł, trwały tam jeszcze we wszystkich niemal pozostałościach swoich i powiew cywilizacyi nowożytnej, której teraz trzeba było szeroko otworzyć bramę, w dziwnym się znalazł stosunku do ludzi i rzeczy. Nowe królestwo włoskie przedstawiało niejako odkopaną z pod ziemi Pompeję, tylko że w tem odkopalisku żyli ludzie—naród. Trzeba było koniecznie dla nowych potrzeb życia uprzątać gruzy i przebudowywać gmachy, praca przecież była ogromną i pod wszelkim względem kosztowną. Żyjąc przez wieki wśród ruin i katakomb, jedni ludzie ulubili je sobie jako dom cichy i wygodny, dla drugich stały się one czemś więcej jeszcze jak miejscem pobytu spokojnego—były relikwią, mieniem jedynem, jakie dostawali przychodząc na świat z ojców zubożałych. To też z różnych tych przyczyn serca mas całych przylgnęły do form życia przeszłości, i gdy zawołano z góry, że w imie postępu trzeba uderzyć w nie oskardem zniszczenia, powstał zamęt w sercach

i umysłach większości. Przerodzenie się Włoch na państwo nowożytne nie mogło być ani prędkiem, ani łatwem. Praca odbywa się dotąd mozolnie, walczy przeciw nałogom i uczuciom, a prowadzić ją musi głównie garstka ludzi na wyżynach umysłowych i społecznych stojąca. W pierwszych chwilach przychodziło im z pomocą ożywienie tych elektrycznych prądów, które rodzą się z każdej walki, z każdego starcia, ale obecnie dzieło, to jako czynność wytrwale a zwolna przeprowadzanego zadania, przedstawia ciekawy i pouczający obraz.

Wykształcenie publiczne, oświata ludowa, ten najcenniejszy nabytek w postępowym ruchu naszego wieku, musiały się koniecznie przedstawić oczom myślicieli i statystów włoskich, jako najpierwsza fundamentalna praca nowego państwa. Rząd włoski uznał nieodwołalną konieczność gorliwego zajęcia się tą sprawą: uorganizowaniem szkół, podźwignięciem wychowania narodowego. Prócz Piemontu, w którym już od 1848 roku wykształcenie publiczne coraz wyższego dochodziło rozwoju, i w którym obecnie 15 procent ludności do szkół uczęszcza, co stosunkowo do ludowej oświaty w Europie, jest stanem wysoko pomyślnym — całe Włochy, a szczególniej pod rządem Burbonów zostające prowincye południowe, były pozostawione w przerażającej ciemnocie. Wrodzony gieniusz włoski i stara cywilizacya dawały wprawdzie ludności pewne uobyczajenie wyższe, stan ten łagodzące, niemniej przecież trwać on dłużej nie mógł, i z pierwszą chwilą normalnego życia Włoch musiał koniecznie wzruszonym zostać. Szczegółem ważnym w tej pracy dla światła, a który zwrócić powinien uwagę ludzi, zastanawiających się nad edukacyą narodów, jest fakt, że narzędziem niejako przyszłej oświaty Włoch, staje się wśród obecnych usiłowań kobieta.

A przecież jeszcze do niedawna nigdzie nie stała ona umysłowo niżej, nigdzie wykształcenie dziewcząt nie było ciężej zaniedbanem. Udzielenie kobiecie wiedzy, było w przekonaniu niemal całego ogółu włoskiego nietylko rzeczą niepotrzebną i zbyteczną, ale moralnem zwichnięciem, wyłamaniem z kobiecości i niebezpiecznem wyparciem z naturalnego stanowiska, jakie kobieta w rodzinie i społeczeństwie zajmować powinna. Przytaczane przez podróżników przykłady niewiadomości i nizkiego poziomu umysłowości kobiet włoskich, zdawałyby się niepodobnymi do uwierzenia, gdyby ich nie popierały urzędowe wykazy edukacyjnej komisyi, której obowiązkiem było co pięć lat zdawać krajowi sprawę ze stanu szkół i postępu oświaty w nowem królestwie. Carlo Matteucci, który jako mąż stanu, a głównie jako rozumny i zacny obywatel swego kraju, gorąco zajmował się kwestyą wykształcenia publicznego, podaje w listach pisanych do margrabiego Gino Capponi taki stan oświaty kobiet włoskich: Na 1,000 kobiet było nieumiejących czytać: w Piemoncie i Lombardyi 450; w Emilii, Toskanii, Ombryi i Marchiach 593; w królestwie Neapolitańskiem i Sycylii 938, czyli na sto kobiet, sześć tylko umiało tam czytać!....

Czytanie nie pociągało jeszcze za sobą pisania. Umiejętność stawiania głosek na papierze uchodziła w południowych Włoszech, w przekonaniu bardzo znacznej liczby osób, za rzecz niebezpieczną dla kobiety — mogła pisać listy zakazane. Nauczycielki szkół ludowych i tym podobnych zakładów klasztornych nie posiadały jej same. Wprawdzie ogólny stan oświaty był w prowincyach południowych niepojęcie smutny; w Bazylikacie naprzykład, na tysiąc mieszkańców nieumiało czytać w 1855 roku 912 osób!....

Ale powtarzam, od chwili powstania królestwa włoskiego, rząd robi wszystko, co tylko jest w jego mocy, aby bolesny ten stan ciemnoty zmienić, a jak się pokazało, najpewniejszą podstawą pomyślnego skutku tych zacnych usiłowań jest to, że włoscy mężowie stanu umieli zrozumieć, czem w ogólnym postępie oświaty, znaczy oświecenie kobiety. „Rozpowszechnianie tego ogólnego wykształcenia, które jest głównym warunkiem cywilizacyi, stanowi nowoczesne posłannictwo kobiety, podobne w ważności swojej do misyi, spełnionej już przez nią w historycznej przeszłości ludów, gdy rozszerzała *dobrą nowinę* między narodami“ — pisze Włoch rozumny, a rząd włoski pojąwszy niepowierzchowne zdania tego znaczenie, wmieścił je niejako w program prac swoich dla oświaty. Wszyscy niemal ministrowie oświecenia publicznego zwracali uwagę rad prowincyonalnych i gminnych na ważność wykształcenia kobiety i szkoły dla dziewcząt, zostawione nieco na boku w pierwszej chwili edukacyjnego ruchu nowych Włoch, stały się wkrótce przedmiotem bardzo gorącej troskliwości. W walce z ciemnotą i apatyą umysłową mas, postanowiono działać przez kobietę na rodzinę, aby tą drogą dostać się do serca narodu. Wykształcenie elementarne musiało być fundamentem pierwszym, położonym pod gmach oświecenia publicznego, otóż w tem dziele podstawowem niezbędność współudziału kobiety, ukazała się jasno oczom statystów włoskich. „Przyszłość oświaty ludowej nie może być dostatecznie zapewnioną jedynie przez szkoły dla chłopców, gdyż wtedy powierzchownie tylko przenika w obyczaje“ — pisała komisya edukacyjna w sprawozdaniu swojem z roku 1865 (Sulle condizioni della publica Istruzione nel regno d'Italia). Ojciec oddany pracy po za domowej, wracając do ogniska rodzinnego dopiero wieczorem, po dniu męczącego trudu, nie ma ani czasu, ani chęci udzielania rodzinie posiadanych wiadomości, z których najczęściej większa połowa zapomnianą została. Ale matka znajdzie sobie zawsze sposobność do nauczania dzieci i kształci je zawsze odpowiednio do ich wieku i charakteru swego. Moralne jej uwagi, wyniesione z doświadczenia życiowego i przykłady domu, na którego czele stoi, uzupełniają dziecku wiadomości, nabywane w szkole. To też skoro tylko prawodawcy włoscy zrozumieli, że kobieta przez wychowanie dziecka tworzy rodzinę i społeczeństwo, musiano zająć się pilnie szkołą dla kobiet.

Szkoły przecież potrzebowały odpowiedniego grona nauczających i stworzenie ich, uzdolnienie osoby nauczycielskiej, musiało stać się zadaniem wstępnem. Szkoły normalne „Scuole Normali“ były więc koniecznością pierwszą; oprócz tych przecież, wymagających już pewnego przygotowania uprzedniego, trzeba było zakładać szkoły nauczycielskie stopnia niższego „Scuole Magistrali,“ Magdalena Gonzebach widziała w nich całe klasy uczennic od 20 do 30 lat wieku mające, które musiały zaczynać od ćwiczeń czytania, gdyż porządne składanie zgłosek było już trudnością nie do przebycia dla niejednej z przedstawiających się na przyszłą nauczycielkę. Ta to autorka cytuje fakt, że w południowych Włoszech, w mieście mającem 100,000 mieszkańców, znaleziono tylko dwie kobiety zdolne prowadzić choć jako tako naukę w szkole elementarnej. Ale uparte sianie dobrego ziarna nie zostaje nigdy bez skutku i z czasem musi plon swój wydać; choć więc pierwsze egzamina nauczycielskie nie mogły być ani zbyt ścisłe, ani zbyt surowe, postęp zaczął się zaznaczać zwolna, a pierwsze jego objawy wyszły ze szkół żeńskich. Przy silnie zakorzenionym przesądzie przeciw nauce kobiet, liczba uczennic była zrazu o wiele mniejszą od liczby uczni płci męzkiej. Kobieta włoska przystępowała do nauki lękliwie, nieśmiało, z niedowierzaniem samej sobie, ale znać głąb istoty kobiecej otworzył się snadniej na głos wzywający do pracy i wiedzy. Kobieta zaczęła garnąć sobie lepiej te pierwsze, drobne promyki światła, które jej dać było można, i sprawozdania wszystkich inspektorów szkół normalnych i magistralnych godzić się w tem zaczęły bez wyjątku, że uczennice tychże szkół przewyższają wszędzie uczni, tak pod względem karności, jak pracowitego przykładania się do nauk i uczynionego w nich postępu. Natura mężczyzny twardsza widać, surowsza, potrzebuje silniejszego przemacerowania; dłużej działających wpływów światła, aby sobie korzyści tego światła przyswoić, gdy kobieta łagodniejsza, cierpliwsza, delikatniejsza z przyrodzenia, prędzej przeniknąć się pozwoliła dobroczynnem jego działaniem. Choć nauka uczennic ma zawsze prawie przeciw sobie warunki mniej korzystne, prędko przecież dało się tu widzić rozbudzenie inteligencyi i prawdziwa chęć wiedzy, miłość nauki, rzadko spotykana między uczniami męzkiemi. Gdy egzamina kobiece wydają przecięciowo rezultat bardzo dobry, uczniowie okazują jeszcze leniwy zastój umysłu, który nie może przebić twardej skorupy dawnych naleciałości. W ostatnich już latach, jeden ze stających do ostatecznego egzaminu, utrzymywał przy odpowiedziach z nauk przyrodzonych, że jedwabniki biorą swój początek z ran Joba, w których wylęgła się piewsza gąsiennica i popierał twierdzenie swe uparcie, dowodząc, że czytał to w Piśmie Świętem. To też dyplomy z ukończonych nauk wypadają rok rocznie na korzyść kobiet, a myśl oddania im wyłącznie wykształcenia elementarnego, coraz więcej umacnia się we Włoszech. Asesor oświecenia publicznego w dawnem królestwie Neapolitańskiem, Lucca, wniósł świeżo na radzie magistralnej w Neapolu wniosek, aby pierwszą naukę elementarną powierzono w zupełności kobietom.

(Dokończenie nastąpi).

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Powrót do Jabłonki. - Burza. - Zniszczenie.— Rozmowa z małżonką.—Wypowiedzenie przeszłości.— Poświęcenie pałacu w Jazdowie.

Rachela lotem strzały pomknęła, ale na drodze były wrota zamykające szeroką drogę ogrodową: tu w biegu dała *szczupaka* jak sarna, a gdy Klara blada przestrachem krzyknęła, kiedy hrabia, sam dobry jeździec ze wzruszeniem spoglądał, pułkownik w najtęższym pędzie osadził w miejscu i głaszcząc pieszczotliwie arabkę, wolnym stępem powrócił przez otwarte teraz wrota.

— Ta klacz, rzekł zsiadając, warta tyle złota ile zaważy.

— Ależ godniejszego też jeźdzca i pana nie znajdzie, jak kochanego pułkownika — dodał hrabia z uczuciem i wyciągnął rękę, a stary wojak, z niezwykłem rozrzewnieniem porwał go w swoje objęcia i ucałował.

Księżyc w pełni wypłynął na lazurowe niebo, słowiki w gęstwinie parku zawodziły już swoje pieśni, gdy pułkownik pożegnał córkę i zięcia, wsiadł do swego koczyka, zapalił z krótkim cybuchem fajeczkę i ruszył do domu.

Bułanki dzielnego wyciągały kłusa, czas jakiś siedział pułkownik nie wychodząc z radosnego wzruszenia, ale niedługo stary *madziar* z zapleśniałych butelek powoli już oddziaływał i wojak po chwili drzemki, otrzeźwiawszy z niej zaczął marzyć. Teraźniejszość, co go otaczała, ulotniła się z jego myśli, a dni młodości rozwinęły wszystkie najwraźliwsze wypadki, które się niestartemi zgłoskami wyryły w jego pamięci. Wędrówki zbrojne po uroczej *Italii*, krwawe walki w Hiszpaniii — pod *Saragossą*, zdobycie wąwozu *Somo-Sierra*, wszystkie te obrazy przesuwały się przed jego oczyma w żywych barwach. Nawał był ich taki, że gdy się ocknął z tych marzeń, już w pobliżu zobaczył swój dwór *w Jabłonce* i wioskę.

— A to my już w domu, mój Grzesiu — rzekł do fornala, przecierając oczy. Dzięki Bogu, jakoś się całą drogę prędko przejechało i nie zmęczyło bułanków. Ale pewno już śpią u nas, bo to musi być późno.

— Gdzie tam, panie pułkowniku, odpowiedział Grześ, świeci się jasno i w przedpokoju i w sypialni.

Rozjaśniło się oblicze starego żołnierza, z radością zatarł ręce i mruknął do siebie...

— Poczciwa Hanula, czuwa dotąd, to anioł prawdziwy, nie kobieta.

Grześ gdy już wjechał w opłotki, trzasnął mocno z bicza i na ganku ujrzał pułkownik oczekującą małżonkę wraz z domownikami.

Z młodzieńczą żywością wyskoczył z pojeździku swego, uściskał i ucałował żonę.

— Jakże się ma Klarcia nasza? — pyta go najpierwej.

— Zdrowa i zawsze jak dawna panienka wygląda. Kazała cię uściskać i sama jutro albo pojutrze przybędzie, jak tylko mąż będzie zdrowszym.

— A cóż mu takiego?

— At! reumatyzm czy artretyzm, grzechy młodości wychodzą na stare kości, ale nic strasznego—lubi się pieścić przy młodej żonie.

Pułkownikowa zcicha boleśnie westchnęła i oblicze się jej zasępiło, ale stary wojak nie uważał tego, opowiadając z zapałem swojej *panience*, jaki drogocenny *prezent* od zięcia otrzymał i jakiej rozkosznej przejażdżki używał. Nie przerywała mu, słuchając wszystkich szczegółów z coraz większem zajęciem, bo mówił o córce, z jaką radością go powitała i jak się przestraszyła, gdy puścił się lotem strzały na dzielnej arabce.

Pułkownik zaledwie wszedł do sypialni i legł na łożu, twardo zasnął; a żona, którą dawne troski ucisnęły na nowo, uklękła przed obrazem Matki Boskiej i gorąco a długo się modliła.

O północy nadpłynęła wiosenna burza z ulewnym deszczem. Zapowiedziały ją dalekie grzmoty i błyskawice, a wkrótce kilka piorunów wstrząsnęło ziemią.

Pułkownikowa zerwała się ze snu i poczęła odmawiać pacierze; starca nie potrafił huk gromów ze snu głębokiego przebudzić.

Jeżeli w tym spoczynku strudzonego ciała, uderzył o jego ucho, to niezawodnie marzył, że słyszy salwy armat przy rozpoczęciu walki krwawej, a słuchał ich z rozkoszą, jak doświadczony myśliwiec co z bijącem sercem nasłuchuje trąbki łowieckiej i *grania* ogarów.

Burza niedługo przepłynęła i nad rankiem niebo się wypogodziło, ziemia jakby ochłonąwszy z przestrachu, odetchnęła, napełniając orzeźwiającą wonią całą atmosferę. Ptaszki, ukryte dotąd, z całą swobodą zawiodły swoje pieśni poranne, a pułkownikowa zerwała się co rychlej, bo była to godzina do zajęć jej zwykłych.

Po modlitwie zbliżyła się cicho do łoża męża, który jeszcze smaczno zasypiał. Kroplisty pot rosił jego wyniosłe, zmarszczkami poorane, czoło: na środku jak głębsza bruzda, wydatniało straszne cięcie szabli, oddawna zabliźnione, ale zawsze znaczne. Na czerstwem obliczu, malował się spokój. Przywiązana małżonka, zrobiwszy znak krzyża świętego, wyszła na palcach z sypialni i w jadalnym pokoju zastała już ogrodnika, który ze smutkiem donosił jej o szkodach, jakie burza nocna zrobiła.

— Proszę Jaśnie pani (mówił) wichura taka straszna, że na gościńcu dwie lipy z korzeniem wyrwała, w ogrodzie u naszej topoli wierzchołek skręciła, a co najboleśniej, że w ogródku naszej *panuleńki* (tak zwano Klarę we dworze Jabłonki), wszystko do góry nogami poprzewracała i nic nie zostało, okrom ziemi, jakby porytej od trzody dzików. Niewiem nawet gdzie się podziały te śliczne kwiatki z doniczkami, które pan *Tadeusz* wczoraj poustawiał, bo ani śladu skorupy.

Na te słowa, oblicze poważnej matrony zbladło, pierś ciężkiem podniosła się westchnieniem, dała mu znak, aby odszedł, a gdy sama została, upadła na krzesło łzami zalana. Usłyszawszy po chwili, że mąż się obudził, co prędzej otwarła oczy i z wypogodzoną twarzą pobiegła do niego.

— A cóż powiesz, kochana Hanulko, rzekł do wchodzącej, dobry ze mnie gospodarz. Ósma na zegarze, a ty się wyciągasz jeszcze i ziéwasz! Ale bo widzisz moja *panienko*, wczorajsze wzruszenie i stary węgier, tak mnie rozebrały, że spałem jak *suseł*, a jak kłoda bezwładny. Cóż tam słychać na świecie?

— Źle słychać mój Józiu, straszna burza w nocy przeszła; pioruny mnie zbudziły, a wichura porobiła wielkie szkody.

— Bój się Boga! co gadasz moja panienko! a toćbym ja musiał słyszeć...

— Wstań i zobacz! drzewa połamane, a ogródek Klaruni (tu już łez wstrzymać nie mogła i z płaczem dodała) całkiem zniszczony!

Starzec zerwał się na równe nogi; z głębokim wzruszeniem począł się szybko ubierać. Po czem, ująwszy obiedwie ręce swej żony i kładąc je na swem czole...

— Moja Hanulku! Bogu oddamy wszystko, tylko mi nie płacz panienko droga, bo mi serce pęka z bólu...

Na te rzewne dowody miłości i przywiązania, ucałowała męża, który rzeźwym krokiem wyszedł do ogrodu.

Ze wzgórza, co wybiegało w jednej stronie, obejrzał całą okolicę. Głęboki spokój wszędzie panował: słońce przygrzewało silnie, po ulewie gęsto stały kałuże; na łąkach szumiały wody deszczowe, drzewa otrząsały z liści obfite krople. Na wysadzonej drodze drzewami, co wiodła do dworu, dwie lipy powalone sterczały szerokiemi korzeniami, na których trzymały się jeszcze kawały wilgotnej ziemi, wyrwane szaloną siłą wichury. W miejscu gdzie stały, otwarły się głębokie jamy. Wierzchołek topoli leżał na ścieżce ogrodowej. Schodził właśnie z tego wzgórza, kiedy ujrzał nadchodzącą żonę, razem więc poszli odwiedzić ogródek *Klaruni*.

Była to ustroń, z jednej strony osłonięta szpalerem starych lip, z drugiej dotykała szerokiej drogi wiodącej ze dworu przez ogród, na łąki ku rzeczce. Huragan nocny przeszedł właśnie tą drogą i uderzył całą siłą w ten ogródek. Nizki parkan, pogruchotany leżał rozrzucony, wiele przęseł z niego przeniósł po za ogród i na łąkach porozrzucał. Grządki, pełne kwiatów i doniczek, jak lemieszem poorał poroznosił i nagą pozostawił ziemię.

Na ten widok, pułkownikowa załamała ręce i z niezwykłym żalem i boleścią zawołała:

— O! moje dziecko jedynie! tak twój ogródek zniszczony jak i szczęście całego twojego życia.

Starzec na te słowa zadrżał, a chwytając za ręce żonę...

— Co mają znaczyć twoje słowa?

Ale ta spojrzawszy na zbladłe nagle oblicze męża, oprzytomniawszy nieco, odrzekła:

— Uspokój się mój Józiu.... to żal co uwagi na żadne słowa niema.

— A jednak od nich serce mi mało nie pękło, moja panienko. Jabym nie przeżył, gdybym wiedział, że w tych związkach z Adamem nie jest szczęśliwą... Wszak dobrowolnie poszła za niego...

— Nie mówmy o tem, odezwała się po chwili pułkownikowa, ale starajmy się urządzić jej ogródek na nowo, bo jakby przyjechała, a ujrzała takie zniszczenie, więcejby przebolała niż my oboje starzy.

— Dobrze! dobrze duszyczko kochana, zaraz ja się sam zabiorę do tego z ogrodnikiem, tylko mi nie płacz, rączek nie łam i takich słów nie mów, co kamieniem na serce padają.

Jakoż tak się zwijał, że przedwieczorem parkanik nowy stał na miejscu dawnego, grządki powstały powysadzane świeżym kwieciem, ustawiono doniczki z oranżeryi; tak ład przywróciwszy zaprosił swoją *panienkę*, ażeby zobaczyła owoc jego pracy. Pośpieszyła chętnie i serdecznie mu dziękowała za podjęte trudy, myśląc w sobie:

— Aby Bóg dobry, dał jej tak prędko szczęście zobaczyć, jak ten odrodzony ręką ojca, zniszczony ogródek!

Stary wojak rad, że ucieszy swoją jedynaczkę, ochoczo zasiadł do wieczerzy, wesołym swoim humorem rozpogodził zasępione czoło małżonki i odgonił z głowy jej smutne myśli, które ją trapiły. Oboje teraz naradzali się jakby uprzyjemnić pobyt ukochanej córce w rodzinnym domu, gdzie nie znajdzie takich wygód, zbytku i przepychu jak w pałacu Jazdowskim.

Siódmy rok właśnie upływał, odkąd się przyszłość ich jedynaczki rozstrzygnęła. W gronie licznych zalotników, stanął hrabia Adam, pan bogaty, przystojny, który chociaż już czwarty krzyżyk wieku kończył, był jeszcze dorodnym i czerstwym mężczyzną.

Człowiek światowy, wysoko wykształcony, od razu pomiędzy niemi wziął pierwszeństwo. Wspaniałość i przepych, jakiemi się otaczał, olśniły wszystkich oczy. — W tej dobie tylko co ukończył budowę pałacu w *Jazdowie* i ozdabiał go w posągi i galeryę obrazów. Pozyskawszy przyjaźń i zaufanie pułkownika, jawnie hołdując wdziękom jego córki, zaprosił go wraz z nią i matką na poświęcenie nowego gmachu.

— Nie śmiałbym w nim zamieszkać, mówił do rodziców Klary, gdybyście go szanowni państwo nie uświęcili swoim pobytem.

Pułkownik najchętniej przyjął zaprosiny tak uprzejme.

Klara od chwili pierwszego zjawienia się hrabiego Adama w Jabłonce słyszała ciągle z ust ojca swego tylko jego pochwały, a nieraz z naciskiem wymówione słowa, że byłby najszczęśliwszym z ludzi, gdyby miał tak *dystyngowanego* zięcia.

— Bo moja panienko (wyrzekł to do żony w obecności córki), czegożby brakowało małżonce hrabiego? chyba ptasiego mleka. Ten człowiek każdą kobietę uszczęśliwić może. W samej dobie dojrzałości męzkiego wieku, nietylko zamożny ale bogacz, bywały w świecie, co nie z jednego pieca chleb jadał, będzie pragnął tylko szczęścia w cichem pożyciu małżeńskiem i głębokie mam przekonanie, że takowe może mu dać nasza Klarcia, o której rękę i serce widocznie się dobija.

Pułkownikowa trwożliwie nań spojrzała, córka słowa nie odrzekła i milczeniem swoim zdawała się zdanie ojca popierać, gdy na zaprosiny hrabiego wybierali się razem.

O miedzę graniczną w małej wiosce *Sosnówce* dziedzicznej po pradziadach swoich, zamieszkiwał młody *Tadeusz Sędzimir*. Sierota po ojcu, przy matce, a serdecznej przyjaciółce pułkownikowej, po ukończeniu szkół w kollegium Konarskiego u pijarów w Warszawie, osiadł oddając się gospodarstwu wiejskiemu. Starszy o pięć lat od Klary, z nią dziecinny wiek przeigrał, a za powrotem ze szkół bywał codziennie gościem.

Obiedwie matki nieraz marzyły o małżeńskim związku tak dobrze dobranej pary, ale każda myśl tę w sobie taiła.

Cichy, łagodny, skromny, nie pokazywał nawet tej nauki i wykształcenia, jakie zdobył sobie mozolną pracą; ukochał pierwszą miłością Klarę, ale jej nie śmiał najmniejszem nawet słówkiem napomknąć o swych uczuciach.

Matka jego w kilka lat z tęsknoty po utracie męża zmarła; pułkownikowa z córką osładzały mu obiedwie prawdziwe już teraz sieroctwo.

Domek jego modrzewiowy, na pagórku stojący, patrzał na okazalszy dwór murowany pułkownikowstwa z obszernemi oficynami. Cztery wsie należące do Jabłonki, stanowiły piękne ich dziedzictwo. Liczył się więc do najzamożniejszych ziemian w całej okolicy.

Tadeusz tu oddychał z całą swobodą doznając opieki matczynej od pułkownikowej, a przywiązania siostry od Klary. Za powrotem z Warszawy czuł on inne, silniejsze uczucie obudzające się na widok dorastającej a tak uroczej dziewicy.

Czy młode dziewczę znało tę miłość, co opanowała całą jego istotę, nikt zbadać tego nie mógł, czułe tylko i badawcze oko matki Klary, jedynie mogło czytać w głębi niewinnej duszy swej jedynaczki.

Widziała ona największą przychylność dla Tadeusza, czasem jej tęschnotę przy oczekiwaniu na jego przybycie; przenikliwością niewieścią może dostrzegała i zawiązek pierwszego uczucia dla niego. Ale gdy Klara za pojawieniem się hrabiego Adama, otoczona jego zabiegami, w ciągłych utrzymywana rozrywkach, zasypywana kosztownemi *prezentami*, które umiał z całą *elegancyą* składać w taki jeszcze sposób, że odmówienie ich przyjęcia, byłoby niegrzecznością, że często nie zwracała uwagi na stojącego smutnie na uboczu Tadeusza, cała oddana zabawie i przystrajaniu się na spodziewane przybycie hrabiego, była przekonaną, że innego uczucia dla swego towarzysza z lat dziecinnych niema, jak tylko przyjaźń braterską i nazwyczajenie.

Sama Klara nie umiała zdać sobie sprawy z myśli, które nieraz nawałą zakłócały spokojną dotąd jej główkę. Dotąd zawsze pierwszy stał w jej marzeniach Tadeusz, ale kiedy pokazał się pełen *dystynkcyi pańskiej* hrabia Adam, postać jego wysuwała się na czoło, a dawny towarzysz młodości w cieniu znikał.

Raz tylko żywsze poczuła uderzenie serca, kiedy olśniona pięknemi darami hrabiego i opisywaniem zachwycającego Paryża—to Londynu, Rzymu i pierwszych miast w Europie, które umiał tak wymownie malować bywalec po szerokim świecie, przechadzała się z nim po ogrodzie w Jabłonce, z zajęciem słuchając całego opowiadania, nagle ujrzała w końcu lipowego szpaleru Tadeusza z wybladłym obliczem i tak rzewnem spojrzeniem, jakby ją błagał o pamięć za sobą. W jego oczach wyczytała i prośbę i gorzki wyrzut, że daje się uwodzić pozornym blaskiem, a nie dba o przyszłe szczęście własne. Zadrżała—i zasępiona, głucha na grzecznostki hrabiego wróciła do dworu, gdzie grono licznych gości, wkrótce tę chmurę z jej gładkiego czoła spędziło.

Oprócz pochwał ojca, które z uniesieniem niezwykłem oddawał hrabiemu Adamowi, ze wszystkich

stron nadbiegały wieści o jego hojności, a nawet dobroczynnych uczynkach.

Tu sypnął hojnego grosza na budowę kościoła, tam upadającą szlachecką rodzinę podźwignął z nędzy, tu znowu dał zapomogę pogorzałym włościanom i to nie należącym do dóbr jego obszernych.

Za Tadeuszem nikt nie przemawiał; o jego szlachetnych uczynkach głośno nie mówiono, bo je ukrywał w tajemnicy, a chociaż skromniejsze były jego ofiary, więcej przecież przynosiły owoców. We wsi jego *Sosnówce* lud kochał go jak ojca, bo rozciągał rzeczywiście rodzicielską nad nim opiekę. Wdowa, sierota miała w nim ratunek i oparcie, chorzy pomoc, a dziatwa, z której starsze uczył czytać i pisać, młodsze zaś obdarzał często, wybiegała z chat radośna, ażeby zobaczyć, gdy przechodził, kochanego panicza, ale ten od chwili hucznych zabaw we dworze Jabłonki, coraz mniej się ukazywał, całe dnie trawiąc w smutnej zadumie.

Świetnie i okazale odbyło się poświęcenie pałacu w Jazdowie. Hrabia Adam wybrał właśnie tę chwilę na swoje oświadczyny. Huczna a dobrana kapela, powitała przybycie pułkownikowstwa i ich pięknej jedynaczki; liczny dwór, w nowej liberyi stał oczekując na skinienia pańskie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORYA
O JANASZU KORCZAKU
I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNIE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Milczał Korczak stojąc z głową spuszczoną. Jadzia, która stała na progu, wyżej od niego, uderzyła go ręką po ramieniu.

— Słuchaj—a ty? czekać potrafisz?

— Ja? jakto panno Jadwigo?

— Powinieneś umieć czekać, być milczącym i cierpliwym, tyle ci chciałam powiedzieć, rozumiesz mnie?

— Nie—rzekł drżącym głosem Janasz—nie mogę zrozumieć, nie śmiem!

— Jesteś dla mnie dziś bardzo niedobrym bratem—podchwyciła Jadwiga. Przypomnij sobie głos mój w celi, zrozumiesz może.

Janaszowi zabrakło głosu, podniósł głowę.

— Panno Miecznikówno — rzekł powstrzymując się—miejcie litość nademną, nie dawajcie mi nadziei, której ja przyjąć nie mogę. Jam sierota, ja winienem wam wszystko, jam sługa. Cóżby ludzie powiedzieli, gdybym śmiał.....

— Jesteś mi bratem, przyjacielem, nie sługą, szybko poczęła Jadzia. Bądź cierpliwym, czekaj i wierz mi, więcej nic nie chcę.

Odwróciła się szybko i wbiegła do gospody. Janasz stał długo ruszyć się nie mogąc. Zawołać go musiano, gdy konie były gotowe. Miecznikowa śpieszyła teraz z niecierpliwością niewysłowioną.

Już mieli ruszyć z gospody, gdy z przeciwnej strony krzyki słyszeć się dały:—Stój! stój!

Wóz wysłany wysoko najechał prawie na konie kolebki p. Miecznikowej. Wpół siedział, na pół leżał na nim mężczyzna średnich lat. Janasz wybiegł, aby zobaczyć co było przeszkodą do wyjazdu, i zbliżywszy się do wozu, poznał na nim Rotmistrza Horbowskiego.

— Na Boga? wy tu co robicie?—zawołał.

— A no—jadę—odparł Rotmistrz—i to na wozie, bo chodzić nie mogę.

— Jużeście z powrotem?

— A no—z pod tego przeklętego Wiednia, gdzie mnie ostatni Turcy, co szable mieli, porąbali wszetecznie; nie wygoiłem się jeszcze. Musiałem do domu wracać.

— My z panią Miecznikową z Podola wracamy, szybko rzekł Janasz, na miłość Boga, prawda to, że Miecznik ranny? Wiecie o tem?

— Jako żywo! kłamstwo! bałamuctwo! przerwał Horbowski.

— Schylił się do ucha Janaszowi—

— Gorzej niż ranny! w niewoli! w niewoli!

Korczak chwycił się za głowę.

— Nie mówcie Miecznikowej.

— Głowę zakryję i widzieć jej nie chcę, bo kłamać nie umiem. Bywaj zdrów.

— Nie wiecie jak się to stało?

— Dowiecie się aż nadto wcześnie, daj ty mi święty pokój—niechcę prawić banialuków, a różnie słyszałem.

Rotmistrz kazał od wrót zawrócić, aby przepuścić kolebkę, i Miecznikowa, która już w niej siedziała, wyjechała nie wiedząc nic i nie zobaczywszy Rotmistrza.

Siadłszy na wóz, Janasz na ucho szepnął księdzu Żudrze:

— Albo to lepiej, lub gorzej — ale nasz Miecznik pono nie ranny, tylko w niewoli u Turka.

Znowu tedy lament był nowy.

— Jeśli się skończy na okupie — to jeszcze nic— rzekł Janasz—wieziemy z Gródka czem zań, choćby na wagę złota, zapłacić.

Ludzi kilku zostawiwszy przy kolebce, Janasz z kapelanem pośpieszyli przodem do Mierzejewic, ażeby choć ognia napalić i izby ogrzać kazać, więcej zaś, by się coś pewniejszego dowiedzieć i umówić jak o tem Miecznikową uwiadomić.

Konie, które czuły już blizkość domu, nie potrzebowały być naglone do pośpiechu: rwały się same. Z północy zajechali przed dwór w Mierzejewicach, ciemny zupełnie. Wszyscy spali, nikt się tu powrotu pani nie spodziewał, tylko warta koło budynków chodziła. Na głos Janasza dobrze znany, jeden z wartowników pobiegł zaraz do Podstarościego Wojdy, a drugi począł stukać w okna ochmistrzyni pani Tulskiej, aby co prędzej wstawała. Tulska zlękła się zrazu pożaru i odeszła od przytomności, kobiety płakać i krzyczeć zaczęły, lecz wnet się porozumiano.

Wojda nadbiegł w kożuchu, który narzucił naprędce, buty wdziawszy na bose nogi—i bez czapki.

— Wszelki duch Boga chwali! Janasz! zawołał— a pani?

— Za godzinę najdalej będzie. Co o panu słychać?

— Nic nie wiecie!—spytał Wojda.

— Owszem, gorzej niż nic, bo płoche wieści. Ranny, w niewoli.

— No—tak—w niewoli!—rzekł Wojda. Są listy do Miecznikowej, piszą, że król gotów w zamian zań dać co ma jeńców najprzedniejszych, ale trzeba, żeby tam kto do obozu jechał.

— Toć ja! choć jutro!—zawołał Janasz. Niema co taić przed panią—lepsza pono niewola niż rana.

Wojda głową kręcił.—Obie licha warte.

— A pani zdrowa?—spytał.

— Słyszeliście wy o nas?

— Tak jak nic.

— Ledwieśmy się Tatarom na zamku obronili.

Wojda krzyknął i za włosy się porwał: — Jezu Nazareński! ale zdrowe!

— Bóg łaskaw.

Tulska biegła do ganku drzwi otwierać. Pobudzili się ludzie, zapalono światła. Zobaczyła jejmość Janasza i krzyknęła.

— Co waćpanu było? Jak Piotrowin wyglądasz....

— Bom chorował i naprawdę jakby z grobu wracam.

— A pani?

— Jedzie, tylko co nie widać—więc ognia na kominy!

Nie było czasu w długą się wdawać rozmowę, dwór cały rozbiegł się, gotując na przyjęcie ukochanej pani. Przybycie jej łzy wyciskało z oczów, bo przypominało biednego Miecznika, którego tak twardy los spotkał.

Ksiądz Żudra poszedł do swej zimnej izdebki, w której mu chłopak dopiero ognia niecił. Janasz spoczął u Tulskiej, która go zaprosiła, aby się u niej ogrzał. Oczekiwano tak na panią Miecznikową, która w parę godzin, gdy już dwór cały zebrany był w ganku, nadjechała. Wojda miał czas czamarę wdziać, Tulska czepiec, pobudzono czeladź; co żyło, zerwało się na nogi. Łzawe było powitanie. Miecznikowa pytać nie śmiała—dwór nie miał odwagi odzywać się, witano tylko ściskając za kolana i popłakując pocichu. Gdy w ganku opatrzyła jejmość wszystkich, że zdrowi są i żywi, weszła dopiero na próg, z kropielnicy wody święconej wziąwszy, z modlitwą na ustach.

Wojda i Tulska szli za nią.

Wszystko było w porządku, dom się uśmiechał jak dawniej, ale wspomnienie szczęśliwych chwil w nim przeżytych, zatruwała myśl o Mieczniku. Nie śmiała pytać jejmość—oglądała się jakby szukała oczyma tego, którego jej tu brakło.

— Waszmość, panie Wojda, musisz mieć wiadomość o panu, odezwała się głosem drżącym Miecznikowa.

— Tak jest, jaśnie pani.

— Mów proszę—męztwo mam, siebie oszczędzać nie potrzebuję i chcę by mnie nie oszczędzano. Całą prawdę mówić zalecam.

— Nie śmiałbym też jej przed jaśnie panią ukrywać, odezwał się Wojda.—Pan Miecznik w niewoli u Turka.

— W niewoli! Jezu drogi! i ranny?

— Nie — zdrów jest. Pacuk był razem z jaśnie panem wzięty i umknął: on najlepszą potrafi zdać relacyę.

— Jest tu?—spytała Miecznikowa.

— Jest, aleśmy mu kazali tymczasowo się nie pokazywać, pókiby pani przywołać nie kazała.

— Niech przyjdzie! niech natychmiast przychodzi! odezwała się pani Zboińska — chcę wiedzieć wszystko.

Pacuk był pachołkiem przy Mieczniku, chłopak roztropny, ale prosty. Zaledwie poń posłano, zjawił się, jeszcze w tej odzieży odartej, w jakiej się wyrwał z rąk tureckich.

Litość brała patrząc nań, tak wyglądał zbiedzony i wynędzniały. Przyszedłszy do nóg padł Miecznikowej, zrazu przemówić nie mogąc, płakał i zanosił się od łez, lecz gdy mu mówić nakazano, począł zaraz otarłszy łzy i odzyskując przytomność.

— Po tych wszystkich zwycięztwach i nieszczęśliwościach—rzekł—jakicheśmy doznali i pod tym skaranym Wiedniem, gdzie nas tak przyjęto, że i nieprzyjacielowi nie życzyć lepiej, król jegomość i my z nim pociągnęliśmy zdobywać Parkany przeklęte. Niech już o tem kto inny rozpowiada, dosyć było biedy, anośmy na swojem postawili i znowu Niemcom zamek oddali.

— Siłaby mówić. Pan Miecznik pomimo tych niewygód, ba i pory takiej często że psaby na podwórze nie wypędził, był zdrów i wesół. Dusza się radowała patrząc na niego, bo się ze wszystkiego śmiał, choćby bieda była największa. Nieraz król jegomość bez namiotu legał, a co mówić o nas. Nieraześmy się suchym chlebem dzielili, dobrze kiedy i ten był. Zaraz pod Parkanami, gdy już je wzięto, powróciwszy pan Miecznik do namiotu raz wieczorem, powiada do mnie:—Pacuk, podobno się do drogi gotować, do królowej z listami pojadę, a może się uda i do Mierzejewic doskoczyć. Mnie się aż serce zagotowało z radości. Zaczęliśmy się pakować, choć niewiele tego było, bo lekko jechać mieliśmy. Nazajutrz listy już były gotowe. Pan Miecznik samotnie zemną i z Dąbskim ruszył. Jeszcze z rozkazu królewskiego miał opatrzyć oba pola bitwy, pod Parkanami—bo tam okropna rzeź była, i trupów jeszcze siła leżało— i zamki w Parkanach i Ostrzygoniu, czy jak się tam to licho nazywało. Wyjechaliśmy wzdłuż obozu Niemców, bo wodą na łodzi zamku opłynąć nie było podobna, tak trupy rzekę zawaliły, opatrzyliśmy zewsząd i ruszyli do Komorna. A do tego Komorna, ani pan ani my drogi nie wiedzieliśmy. Pan się śmiał—droga? na końcu języka! Nie dalej było pono jak mil pięć — ale kto go wiedział; którędy się tam dostać? Jechaliśmy po nad Dunajem, rzeką, która tam płynie. Przyłączyło się do nas Niemców kilkunastu, którzy też w tę stronę dążyli, zdawało się że lepiej być nie może. Miecznik z Niemców żartował, a o Turku nikt i nie myślał, choć się tam ich ciurów dużo zawsze wałęsało. Kiedy tak na nasze nieszczęście jedziemy, aż oto przed nami kupa ludzi — w białych płaszczach. Było ich może z półtorasta. Pan Miecznik powiada:—To Kroaty cesarskie, ja z niemi się rozmówię i języka dostanę. Jakoż ścisnął konia, a my za nim. Te łotry w białych płaszczach patrzą na nas i stoją jak murowane, nie ruszają się. Byliśmy od nich o jakie trzydzieści kroków, kiedy patrzę, dobyli nagle szabel i jak się na nas nie rzucą,

z impetem strasznym. Koni już ani strzymać było ani zawrócić, bośmy pędem lecieli. Aniśmy się obejrzeli, gdy nam na karkach siedli. Niemcy, co z nami byli, ognia dali. Mnie zaraz jeden powalił na ziemię, ażem się krwią oblał i z rąk mi szabla wypadła. Miecznik siedział na szpaku, miał jeszcze czas się zawrócić i byłby może ujść zdołał, gdyby w pędzie Niemiec, który za nim leciał koniem go i sobą nie uderzył, tak iż szpak i pan padli na ziemię. Miecznik się zaraz porwał i chciał się bronić, lecz go opasali w około. Patrzę, jeden mu rękę podaje, bronić się nie było sposobu. Mnie drugi za kołnierz chwycił i ciągnie. Takeśmy się nędznie do niewoli dostali. Lecz że p. Miecznika starszy Turek wziął, a wiele sobie znać po nim obiecywał, łagodnie się z nim obszedł. Co z nami było i co się oberwało, mówić nie chcę. Było nas niewolnika pozbieranego, Niemców szczególniej, głów kilkanaście, pod wieczór ustawiono nas pośrodku, straż z dzidami do koła i tak pieszo iść musieliśmy do zameczku, który oni tam zajmowali. Rzeczkę, co go oblewała, przejść musieliśmy pieszo. Przed bramą Turcy dali ognia z pistoletów, bo u nich taki zwyczaj, gdy z jeńcami wracają. Już późną nocą wpuścili nas do środka. Turków było pełno. Poczęli nas prowadzić od jednego do drugiego, a każdy z osobna trząsł, szukając czyśmy przy sobie czego nie mieli, nawet w butach. Miecznik był, mimo nieszczęścia, tak wielkiego serca, żem go nigdy nie widział spokojniejszym. Wzięli mu pektoralik, pierścienie, kiesę, wszystko. Od Annasza do Kaifasza wodzili wypytując przez tłumaczów, którzy tam byli Węgrowie zbiegli i zdrajcy, ale Miecznik nic mówić nie chciał, z nas dwu żaden nie miał im co powiedzieć. Tak się nasza nędza zaczęła.

Nas przy dozorze zaraz nazajutrz do roboty zaparli; chcieli i pana zaprządz do niej, ale powiedział wręcz, że do tego nie był nawykły. Strawą mizerną trzeba się było obchodzić.

Żeby powiedzieć, iż się bardzo nad nami znęcali— nie mogę.

We dwa czy trzy dni i my i p. Miecznik przez tego, który nas wziął, zaprowadzeni byliśmy do starszego, którego tam zowią Paszą. W pierwszej izbie buty nam pozrzucać kazali, bo to u nich uszanowanie, głowa nakryta, a nogi bose. Dopiero nas wprowadzono do drugiej izby, której podłoga kobiercem była pokryta z kawałków zszywanym. Pasza siedział na podniesieniu, ostawiony poduszkami w kącie, między dwoma oknami, a posłanie pod nim czerwono okryte i do koła poduszki. Nad nim szabla wisiała i buńczuk z końskiego ogona czerwony.

Tu dopiero poczęła się na nowo indagacya: gdzie, jak—co; ale Miecznik mało co mówić chciał i dali mu pokój. Pozwolili siąść na ziemi i tego, co oni tam piją, przynieśli w filiżance.

Wszystkich jeńców rozpatrzywszy, jegomości i mnie odesłał Pasza synowi swojemu na miasto. Tu już trzymali nas jak Bóg dał, nie wiele się troszcząc, byleśmy żyli—dla okupu. We dnie ze sługami, a na noc.

Tu się nieco zawahał Pacuk.

— Na noc nas zamykali do lochu, mnie i dyby na nogi kładli.

— A Miecznik? — zapytała głosem drżącym pani Zboińska.

— Nie śmieli mu ich kłaść—rzekł sługa. Biedy i głodu i nędzy zażyliśmy wielkiej, ano Miecznik jeden nie tracił ani humoru ani męztwa. Mnie już dopiekło to do śmierci. Gdybym na pana nie patrzał i od niego strofowany nie był, sądzę, żebym ziemię już gryzł.

Jednego dnia, gdyśmy tak siedzieli na górze w izbie, a służba się porozchodziła, bo przy niej mówić nie było bezpiecznie, gdyż niektórzy z nich rozumieli coś języka naszego — odzywa się p. Miecznik do mnie:

— Pacuk, ja ciebie poznać nie mogę. W pierzynieś się nie chował, a stękasz i skwaśniałeś gorzej odemnie, no—to idź ztąd do licha.

— Wolne żarty, jasnego pana, rzekłem.

— Nie żartem ci to mówię, mógłbyś i sam być wolny i mnie uczynić przysługę, boby się ludzie przez ciebie dowiedzieli: gdziem jest i co się zemną dzieje.

— A jakże ztąd uciekać?!—zapytałem.—Chciej-no tylko i myśl — powiedział pan. Jabym to dawno uczynił, alem trochę za stary.... tyś młody i znajdziesz sposób się ztąd wyrwać. Odzież i tak dali ci, że po niej nie poznają, parę słów nauczyłeś się od nich. Weź ino na rozum.

Otóż to słowa pańskie poskutkowały, wziąłem się od tego dnia myśleć, jakim umknąć sposobem. Nie bardzo też oni nas, a więcej Miecznika dla okupu pilnowali. W lochu, w którym nas na noc zamykano, począłem się grzebać. Miałem kąt osobny. Zrana wynosiłem ziemię, którą w nocy wydarłem rękami, a jamę cegłami zastawiałem.

Tydzień cały kopiąc się, dopierom poczuł, że mi niewiele zostało, aby się na wolność dobyć. Jama była taka że siłą i mocą ledwiem się mógł przecisnąć. Dom stał na pogorzelisku, opodal od zamku. Powiadam więc panu—jednego dnia; nazajutrz idę: Co pan przykaże?—Ha—rzekł Miecznik—innej dyspozycyi nie daję — z przeproszeniem jaśnie pani— ale to własne słowa jegomości—nie bądź kpem i nie daj się złapać, powiedz, że mnie Turcy tu trzymają, a znajdzie się kto co wymieni lub wykupi. Pocałowałem w rękę pana, pożegnał mnie. Nocą, gdy wszyscy spali, wlazłem w jamę, jeszczem ją za sobą zamknął i dobyłem się na podwórze. Pieszo umykać nie było sposobo, konia musiałem szukać. Wiedziałem gdzie była stajnia Kiaij, bom co dzień musiał im konie czyścić; wszedłem do niej i już kulbaki nie szukając, ledwie uzdę nałożywszy, stępią wysunąłem się za miasto. Bóg ich ślepotą nawiedził, że mnie nie zobaczyli. Puściłem się na los szczęścia, co koń wyrwie. Nad ranem byłem w obozie u Niemców. Tu mnie poprowadzili opatrując za osobliwość, a że koń był, chociażem go pociemku brał, najlepszy, samego Kiaij—zaraz mi go tam niemiecki pułkownik zagarnął. Szczęście, że i mnie razem z nim przyjaciele nie wzięli do niewoli. Napotkałem naszych panów, którym rozpowiedziałem wszystko, a z furami dostałem się do Krakowa; Stąd już pieszo.

Słuchano — nie przerywając Pacukowi.

— Król jegomość już wie o wszystkiem, dodał w końcu, i dał słowo swe, że choćby dziesięciu najprzedniejszych jeńców oddać przyszło, p. Miecznika zamianą dostanie bez wykupu.

— I o wykup nie będzie trudno—zawołała Miecznikowa. Lecz kogóż tu użyć?

Janasz wystąpił.

— Ja powinienem i muszę jechać: albo niewolę z panem dzielić i w niej mu służyć, lub go z niej uwolnić. Poprzysiągłem to sobie.

Miecznikowa spojrzała nań.

— Dobre z waszmości dziecko—rzekła—ale wiesz że na co się porywasz?

— Zdaje mi się, że przy pomocy Bożej podołam temu—odezwał się Korczak. Gdziekolwiek król jegomość się znajduje, czy w polu, czy w powrocie, najprzód do króla jechać muszę, potem tam, gdzie pan Miecznik, choćby....

Niedokończył, płakała p. Zboińska.—Gdybym nie była kobietą poszłabym ja—rzekła—jedź waszmość. Spocznij teraz i nabierz sił, pomówimy o tem jutro.

— Jabym i dnia nie chciał zwlec — odezwał się Janasz—myśląc o tej niewoli, której Pacuk pewnie wszystkich okropności opowiedzieć nam nie mógł. Każda godzina droga—po cóż zwlekać? Czas wielki!

Miecznikowa namyślała się.

— Jutro — rzekła — albo raczej dziś, bo jeśli się nie mylę, już dnieje. Idź waszmość spocznij, ja się pomodlę i—obmyślimy co czynić należy.

Wistocie dniało, gdy Janasz naostatek do dawnego swojego mieszkania poszedł, ale tu o spoczynku nie było co myśleć, trzeba się było do drugiej, cięższej niż pierwsza sposobić podróży. Wojda, który go odprowadził, Pacuk, Nikita, zeszli się wszyscy do niego gwarzyć, stękać i dowiadywać się jedni od drugich, ci o Podolu, drudzy o Mieczniku. Ani się spostrzegli, gdy dzień biały w oknach zaświecił, a dzwonek kapliczny na mszę świętą ranną zawołał. Ksiądz Żudra już był w zakrystyi, cały dwór, mnóstwo ludu ze wsi, czeladź, czynszownicy, gracyaliści, służba wszelaka zbiegła się witać panią Miecznikową.

Wyszła nareszcie w czarnej sukni, smutna ale zrezygnowana i mężna, córkę prowadząc za sobą. Niewytłumaczona otucha jakaś wstępowała w jej serce. Słowo króla Jana było zapewnieniem swobody, należało tylko przyśpieszyć ją i wyprawić kogo do obozu, a nikt nad Korczaka zdolniejszym do tego być nie mógł. Spojrzała nań zdaleka: wychudły był, zmęczony, ale na bladej twarzy nosił wyraz takiej energii i męztwa, znała go tak dobrze, że nikomu więcej zaufać, niczyjej gorliwości pewniejszą być nie mogła.

— W imie Boże—niech jedzie, rzekła w duchu— i to dobrze, że się od Jadzi oddali i że dziewczęciu wyjdzie dziecinne przywiązanie ku niemu z głowy. Może też tam gdzie Miecznik go dobrze umieści. Pragnę dlań wszelkiego dobra.... tylko już w Mierzejewicach dłużej go trzymać nie można. Świat szeroki, chłopiec poczciwy, wyposażenie się znajdzie. Bóg mu pobłogosławi, a mnie z serca wielki ciężar spadnie.

Więc—niech jedzie! dodała Miecznikowa, tak najlepiej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KORESPONDENCYA Z ZAGRANICY.

Walka z lichwą.—Towarzystwa zaliczkowe.—Związek.—Uchwała sejmu w sprawie lichwy.—Obraz kraju skreślony przez komisyę prawniczą.— Telegramy.— Sejm.— Podwyższenie płacy nauczycielom ludowym —Propinacya. Agitacya literacka. — Tydzień i Ruch literacki —Nowości literackie —Sobótka.—Sprawy teatralne. —Projekt zakupienia obrazu Matejki.

Lwów, w październiku.

Rozpoczynając po dłuższej przerwie korespondencyą ze Lwowa, uważam za konieczne cofnąć się myślą cokolwiek wstecz i zrobić przegląd ważniejszych wypadków z życia naszej prowincyi i stolicy.

Niepowodzenia na arenie politycznej przy ostatnich wyborach do Rady państwa w Wiedniu, zwróciły uwagę kraju ku sprawom wewnętrznym. Okropny przedstawił się widok przy bliższem ich zbadaniu. Ludność wiejska rolnicza i miejska przemysłowa w istnej się znajdują niewoli ekonomicznej, bo pracują krwawo nie na siebie ale na swoich wierzycieli, drobnych kapitalistów, reprezentowanych przez szynkarzy i lichwiarzy. W obec takiego położenia, „G. narodowa“ rozpoczęła szereg artykułów wymierzonych przeciwko wyzyskującemu położeniu, jakie względem pracującej ludności zajęli ci ostatni. Zwolna te artykuły przybrały charakter pobudzający wiejską i miejską ludność do wydobycia się z zależności ekonomicznej, w jaką popadły przez swą własną bierność i do wytworzenia sobie środków pomocnych, któreby ułatwiły jej rozwój dobrobytu materyalnego. Przedstawienia te nie pozostały bez skutku. Tu i owdzie zaczęły się pojawiać po miasteczkach handle chrześcijańskie, poorganizowały się w kilku miejscach spółki przemysłowców, nabywające surowy materyał, a co najważniejsza, powstały liczne towarzystwa zaliczkowe. Jest nadzieja, że liczba tych ostatnich do wielkich dojdzie rozmiarów, bo założony w końcu września „Związek stowarzyszeń zaliczkowych i zarobkowych“ obrał to sobie za jeden z główniejszych celów i bardzo czynnie tem się zajął. Na samym wstępie swych czynności, wydział „Związku“ uchwalił wnieść petycyę do sejmu, ażeby fundusze gminne, lokowane dotąd w gminnych kasach pożyczkowych, mogły być użyte na kapitał zakładowy dla stowarzyszeń zaliczkowych, z nieograniczoną poręką. Organem „Związku“ jest pisemko noszące też nazwę *Związku*, redagowane bardzo starannie przez p. Zygmunta Medweckiego.

Pomiędzy przyczynami zgubnie oddziaływającemi na dobrobyt materyalny kraju, wypada przedewszystkiem wymienić ustawę z r. 1868, która zniosła wszelkie przepisy o lichwie i dozwoliła ustanawiać dowolnie stopę procentową od wypożyczonej kwoty pieniężnej. Zgubność tej ustawy dla kraju naszego została wykazaną w dobitny sposób przez komisyę prawniczą, której sejm tegoroczny przekazał rozpatrzenie wniosków domagających się ograniczenia lichwy. Przytoczę tu ustęp ze sprawozdania rzeczonej komisyi: „Komisya prawnicza niema pod ręką statystycznych wykazów, ale rządowi łatwo jest postarać się o takowe i przekonać, ile rok rocznie majątków ziemskich przechodzi w kraju naszym drogą przymusowej sprzedaży w ręce obce. Liczba ta przerazi go swym ogromem. A ważną jest okoliczność, że to wywłaszczenie niemal ryczałtowe

jest na porządku dziennym, począwszy od zaprowadzenia ustawy wekslowej i rozpowszechnienia się zdolności prawnej do wydawania wekslów — owej najdogodniejszej formy kredytowej, po za którą kryła się lichwa, od roku 1868 nawet kryć się już nie potrzebująca, bo ją opieka ustaw jako legalną stypulacyę osłania, chroni i wszelkiej jej pomocy użycza.

„Niechaj rząd zapyta sądów o kary konwencyonalne, procenta, zwłoki hipotecznie ubezpieczone, a następnie egzekucye sądowe na mocy takich aktów dopełniane, a przekona się, że zwyczajnym prawie procentem jest 2% na miesiąc, czyli 24% na rok przy pożyczkach hipotecznych; 50%, 100% a nawet 200% przy pożyczkach niehipotecznych—i że kary konwencyonalne dochodzą prawie zawsze wysokości kapitału a często kilkakrotnie go przenoszą.

„Sędzia, który kraj miłuje, jest naówczas w okropnem położeniu. On piastun sprawiedliwości, obrońca skrzywdzonych, ze skrwawionem sercem a drżącą ręką wydaje nieszczęśliwego dłużnika w ręce bezwstydnego łupieżcy i sromotnego krzywdziciela.

„I to się nazywa sprawiedliwość! I dokąd nas ta sprawiedliwość doprowadzi? Oto liczne petycye do wysokiego sejmu w tym przedmiocie wniesione świadczą, że kraj marnieje z roku na rok, że właściciele gruntów zamieniają się po wywłaszczeniu na niewolników, którzy jak niegdyś w Rzymie pracują w pocie czoła na swojej niegdyś ojcowiźnie dla pana kapitalisty za nędzne wynagrodzenie; nędza przybiera straszne i coraz straszniejsze rozmiary; za nędzą idzie rozkład stosunków społecznych, nieufności, zawiści i zbrodnie;—krótko mówiąc—kraj nasz zmierza nieuchronnie do wielkiej katastrofy społecznej.“

Głos ten poruszył zobojętniałe umysły członków tegorocznego sejmu i prawie jednogłośnie uchwalono, wezwać rząd do zniesienia nieograniczoności procentowej przez ustawę z 1868 r. uprawnionej.

Na tegorocznym sejmie wniosek o podwyższenie płacy nauczycielom ludowym zamienił się w prawo. Już parę dni tylko pozostawało do zamknięcia sejmu, a wniosek posła Sawczyńskiego, stanowiący o przyszłości naszych szkół ludowych, nie wyszedł jeszcze z komisyi budżetowej, gdzie go odesłano dla dokładnego rozpatrzenia. Nadaremnie dzienniki poruszały ziemię i niebo, komisya mało na to zważała. Ale doznawszy porażki przy pozycyi budżetowej o drogach, gdyż sejm zasłaniając się niemożnością podwyższenia podatków, nie uchwalił 35,000 złr. które komisya na budowę dróg przeznaczyła, rozgniewana o to pośpieszyła z wygotowaniem wniosku posła Sawczyńskiego i zmusiła w ten sposób reprezentacyę krajową do uchwalenia przeszło dwa razy większej summy, bo 80,000 złr. na szkoły ludowe. Trzeba przyznać, że większość sejmowa, która kilka dni przedtem zawzięcie się broniła przeciwko powiększeniu wydatków budżetowych, pozycyę na szkoły ludowe przyjęła przychylnie; jeden z posłów włościańskich mazurskich, zrobił nawet uwagę: „że na szkoły niema co żałować pieniędzy.“

Propinacya, która od wielu lat nie może doczekać się rozstrzygnięcia, zyskała w tym roku poparcie rządowe i przyszła wreszcie na porządek dzienny. Zajmowano się nią przed samem zamknięciem sejmu, 18 b. m. Szlachta, której rzecznikiem był pan Kazimierz Grocholski, oświadczyła się bądź co bądź za rozwiązaniem już ostatecznem kwestyi propinacyjnej; posłowie zaś demokratycznych usposobień, w imieniu których przemawiał p. Bazyli Kowalski, woleli odesłać tę sprawę do specyalnej komisyi na ten cel wybranej, która zbada wszystkie zarzuty i ułoży projekt bardziej zadawalający wszystkich. Przy głosowaniu ostatni wniosek pozyskał większość; oświadczyli się za nim przedstawiciele miast, włościanie, świętojurcy i 10 ze szlachty.

Przechodząc od sporów społecznych do literackich, wypadałoby na samym wstępie odpowiedzieć na pytanie: czy nastąpiła jaka zmiana w usposobieniach publiczności względem literatury? Prawdziwie jest to pytanie, które trudno rozwiązać. Jeszcze przed kilkoma miesiącami skarżyli się księgarze na obojętność publiczności dla wszelkiego rodzaju produkcyi umysłowych w języku ojczystym pojawiających się. Wśród tych skarg, trzy firmy księgarskie zapowiedziały wydawnictwo pism literackich od dnia 1 października: księgarnia polska miała wydawać pismo dwutygodniowe p. t.: *Pług*, i pp. Gubrynowicz z Pillerem, *Ruch literacki*; pp. Rogosz i Rychter—*Tydzień*. Dwie ostatnie spółki rozwinęły wielką agitacyę na korzyść swych pism; księgarnia polska usunęła się czasowo z pola walki, która przybrała rozmiary prawdziwie amerykańskie. Anonsa małe, wielkie, prospekty, ogłoszenia po rogach ulic przyklejane, od miesiąca zwiastowały pojawienie się: *Tygodnia* i *Ruchu literackiego*. I zanim termin wyznaczony upłynął, pojawiły się oba pisma: *Tydzień* wyszedł w dwa tygodnie wcześniej,—*Ruch literacki* o tydzień. Obecnie mamy przed sobą pięć numerów Tygodnia i 4 Ruchu literackiego. Oba pisma są dobrze redagowane: Ruch odznacza się większym zasobem starannie i pięknie opracowanych artykułów; Tydzień zaś jest ruchliwszym i więcej się zajmuje sprawami bieżącemi. Pierwsze pod względem opracowania literackiego wyżej stoi; drugie odpowiada więcej potrzebom chwili. Które z tych pism utrzyma się — trudno przewidzieć, wszakże więcej głosów przemawia za Ruchem; być może, że pisma te dokażą cudu i obydwa pożyszczą wśród naszej publiczności dostateczną dla swego istnienia ilość prenumeratorów.

Pisma literackie nawet dla rozwoju literatury książkowej są niezbędnemi. W tym względzie ważnym bardzo jest dział krytyczny. Dział ten w obydwóch wyżej wzmiankowanych pismach nie odznacza się ani gruntownością, ani bacznością na ruch literacki. Ważniejsze utwory pominięte milczeniem albo zbyte kilku słowami. Rozumna krytyka przysparza książkom czytelników, i dlatego interesem samych wydawców, którzy są zarazem i księgarzami, jest staranniejsze poprowadzenie działu krytycznego w wydawanych przez nich pismach.

Nowości literackich nie wiele wymienić możemy. Parę tłumaczonych powieści *Cola Rienzi* Bulwera i *Rok zamężcia* Carlena; kilka książek szkolnych; parę rozpraw w formie odczytów (o pracy kobiet ze stanowiska ekonomicznego L. Bilińskiego i Losy narodowości polskiej na Szlązku); parę dramatycznych utworów (Próba ognia, komedya w 5 aktach, Komorowskiego); kilka rozpraw naukowych (Mikołaj Rej z Nagłowic, Bronisława Zawadzkiego; Początki feudalizmu, Stanisława Smolki; Las w stanie natury, Henryka Strzeleckiego); kilka podręczników gospodarstwa rolnego: oto niemal cały zasób książek w przeciągu tych kilku ostatnich miesięcy wydanych w mieście naszem.

W tym roku jeden z pierwszorzędnych wieszczów naszych, Seweryn Goszczyński, kończy pięćdziesiąt lat swego zawodu poetycznego. Na uczczenie tej rocznicy postanowiono wydać książkę zbiorową p. t.: *Sobótka*. Pieniądze ze sprzedaży jej uzyskane, wraz ze składkami na ten cel zbieranemi, mają utworzyć fundusz, którego odsetki przeznaczają się na zapomogę i pensye dla weteranów zawodu literackiego. Prenumerata Sobótki wynosi 3 złr. Dotąd liczba prenumeratorów i składek bardzo jest małą,—należy się jednak spodziewać, że cześć dla znakomitego wieszcza i piękny cel wydawnictwa i składek, wywołają przed upływem terminu zamknięcia prenumeraty (dnia 1 grudnia) większy zapał i stosowne poparcie w publiczności.

Sprawy teatru naszego nie mogą dotąd wyjść ze stanu chaotycznego. Zdawało się, że spółka artystów wziąwszy na siebie dyrekcyę, położy wreszcie koniec niesnaskom i walkom. Inaczej się jednak stało. W przeciągu tych kilku miesięcy opuścili scenę naszą tak znakomici artyści, jak: Köhler i Ładnowski. Bardzo zdolny aktor Podwyszyński przeniósł się do Krakowa. Dobrzański Stanisław i jego żona, dawniej Kwiecińska, śpiewaczka w skutek zatargów z dyrekcyą od miesiąca już nie wstępują na scenę. Cierpi na tem najwięcej kasa teatralna, bo publiczność bierze też udział w tych niesnaskach i manifestuje swą niechęć niebywaniem w teatrze.

Dyrekcya ratowała się w ostatnich czasach występami gościnnemi pp. Rakiewiczowej i Majeranowskiej. Pani Rakiewiczowa znana ze znakomitej swej gry, zawsze liczną publiczność ściągała. O pani Majeranowskiej tego powiedzieć nie można; trudno jej współzawodniczyć z p. Kwiecińską.

Powstała tu piękna myśl zakupienia obrazów Matejki: Unija i Stefan Batory. W tym celu utworzył się komitet i zebrano już podobno około 20,000 złr.

B. L.

PRZEGLĄD WYSTAWY

TOWARZYSTWA ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH.

W codziennem, potocznem użyciu wyrazy *malarz* i *sztuka* służą na oznaczenie pojęć wprost przeciwnych; są to antytezy. W życiu obyczajowem, nawet w ogólnym na świat i ludzi poglądzie, natura jest światłem, sztuka cieniem; każemy się brzydzić wszelką sztuką, a pozostawać wiernym naturze. A jednak bardzoby źle wyszedł, ktoby ściśle spełniał ten przepis. Naturalność i prostota wielkiemi są przymiotami w życiu; ale są one zarówno cennemi w *sztuce*; i na odwrót sztuka jest koniecznym dodatkiem do natury, wszędzie gdzie tylko chodzi o *naturę człowieka*. Natura nieokrzesana sztuką, dzika, surowa natura może się podobać przedmiotowo; ale dusza ludzka na sobie samej i na wszystkiem czego się dotknie, z czem w związek wejdzie, musi wyciskać ową pieczęć tajemniczą, nazwaną sztuką. Człowiek podbija naturę, nią jak posłusznym rumakiem chce władać, ale nie ogranicza się samym tryumfem materyalnym: uszlachetnia ją, odrzucając to co przypadkowe, zbyteczne, a kojarząc to co harmonijne; a sztukę tę uprawia najprzód na sobie samym, na swojej własnej naturze. Poczucie estetyczne działa tu w parze z poczuciem moralnem.

Jest więc w pewnem znaczeniu sztuka antagonistką natury i takie jej cechowanie w mowie potocznej ma logiczne uzasadnienie; ale jest też i jej sprzymierzeńcem: jeżeli jej siły dobrze wyzyskać, jeżeli rozwinąć i uszlachetnić ją potrafi, staje się jej przyjaciółką; jeżeli ją zabije, sama traci prawo do swego miana i do życia.

Zachwycamy się zarówno naturą jak sztuką. Źródło naszego zachwytu jest w każdym razie jedno i to samo: jest niem władza duszy ludzkiej tworzenia sobie ideałów; urabiania sobie z materyałów i z praw, jakie nam natura podaje, harmonijnych całości, tworzenia na własną rękę. A kalejdoskop obrazów natury i uczuć i myśli, z któremi je człowiek ożenia, niewyczerpany. Obszerne łąki z pasącem się bydłem, cieniste gaje, mroczne lasy, przetkane promieniami słońca; góry majestatyczne lub doliny z szemrzącemi strumieniami; chatka na ustroniu, lub obszerna panorama okolicy, budzą we wrażliwej duszy pewne pojęcia i uczucia: umysł eliminuje z tego materyału wszystko przypadkowe, różnorodne; zatrzymuje same harmonijne rysy, barwy i tony i zachwyca się pełnością wrażenia. Tym sposobem każdy wielbiciel piękna staje się chwilowo artystą; tylko jego niezliczone utwory nie wychodzą z granic bierności, odczucia, odzwierciedlenia: brak mu iskry geniuszu, któraby te wszystkie mary w stal czynu stopiła; brak mu twórczości.

Niebezpłodna jednak jest i ta władza; owszem niezmiernie jest pożyteczną, bo jest łącznikiem pomiędzy artystą a publicznością; bez niej, bez tego biernego poczucia piękna u ogółu, artysta byłby odosobnionym niemiałby dla kogo śpiewać, malować, lub rzeźbić; nie odzwierciedliłby się w żadnej duszy i sam musiałby zmilknąć, nie mając ani słuchaczy, ani gruntu, z któregoby soki ożywcze mógł czerpać. Wszyscy czujemy piękno, wołamy, że mistrz z duszy naszej zaczerpnął swoje barwy i tony, tylko nam brak siły wypowiedzenia słowem, barwą, lub tonem tego, co on wypowiada, a co jest wspólną naszą własnością.

Trzeba, chcąc czucia rozszerzyć
Tworzyć bóstwa i w nie wierzyć.

To przepis obowiązujący każdego — ale mistrze tworzą wiekiem niespożyte dzieła, podczas gdy tworzenie zwykłych śmiertelników niknie jak kręgi wywołane rzuceniem kamienia na wodę.

Tych kilka myśli o sztuce i naturze, jako wstęp do przeglądu skarbów sztuki nagromadzonych na wystawie, ma zarazem służyć za uniewinienie przed łaskawemi czytelniczkami „Bluszczu“ dla sprawozdawcy, który przez całe lato zajmował się naturą nie sztuką. Gdy jednak natura i sztuka, jak to powyżej wykazano, w tak blizkim i nierozerwanym ze sobą stoją związku, to zboczenie nie było zbyt wielkie, a może świeże wrażenia dodadzą mu nowych sił na wasze usługi.

Utwór sztuki powinien na wrażliwego widza działać tak jak piękna natura rozbudzać ma jego idealną stronę. Stosownie do charakteru jaki dziełu swemu nadał artysta, ma ono wywoływać odrazu pewne oznaczone wrażenie, poruszać pewien bieg idei, unosić widza w idealne strony. Religia np. po wszystkie czasy posiłkowała się sztuką, odrywającą człowieka od ziemskich trosk, nastrajającą umysł do poważnych rozmyślań i do gorących modłów; mimo też wszystkie wymysły dawniejszych i późniejszych reformatorów, obrazoborców, przeciwników wystawności obrządków religijnych, rzeczywista potrzeba duszy ludzkiej zawsze będzie brać górę, i sztuka zawsze będzie idealną łodzią, przenoszącą nas w nadziemskie sfery; portykiem przez który najprostsza droga prowadzi do kościoła.

Dzisiejsze malarstwo religijne prawie się ogranicza do użytkowania i stosowania niesłychanie bogatych zasobów, jakie nam przeszłe wieki pozostawiły. Przy ustalonej długą tradycyą artystyczną i religijną symbolice, od której odbieganie raziłoby ustalone pojęcia publiczności chrześcijańskiej, kompozycya artystyczna zależy na umiejętnem czerpaniu ze skarbca archeologii, tradycyi i z wzorów, jakie nam mistrze pozostawili. W wielkim obrazie religijnym p. *Ignacego Jasińskiego* „Święty Józef“ widzimy rozumne użycie wszystkich symbolów ku jasnemu wypowiedzeniu obranej treści. Święty starzec powziął zamiar opuszczenia Maryi, w drodze zatrzymuje go nadziemskie zjawisko. Ukląkł, rzuciwszy kij pielgrzymi i tykwę i z głębokim zachwytem i skupieniem słucha słów anioła, zapowiadającego przyszłą wielkość Syna Dziewicy. Ponad aniołem, jakby wizya komentująca jego słowa, Najświętsza Panna ukazuje się w obłokach, unosząc w górę krzyż zbawczy i stojące na nim Dzieciątko. Piętrzące się te nad sobą postacie, coraz jaśniejszem oblane światłem, dobrze są obmyślane i ustosunkowane. Spokojna twarz boskiego posłańca, sprawia, iż Święty Józef utrzymuje się na stanowisku głównej osoby w kompozycyi: Najświętsza Panna z Dzieciątkiem Jezus zatrzymuje też charakter wizyi i nie rozrywa jedności obrazu. Duch święty w kształcie gołąbka tchnący światło na głowę Św. Józefa, także symbolizuje dobrze treść obrazu.

„Św. Ludwik“ p. *Szyndlera*, „Św. Kazimierz“ p. *Murzynowskiego*, są to średnich rozmiarów figury klęczące z godłami swoich dostojeństw, zatopione w modlitwie; komunały pomysłem i wykonaniem. „Św. Izydor“ p *Kaczorowskiego*, jest w formie portretowej. Poza prawem uchem Świętego, anioł prowadzący woły z pługiem, sprawia wrażenie koników polnych, czy szarańczy, tak dalece wzgardzono tu prawami perspektywy.

W takimże formacie i równie pospolicie namalowana jest „Św. Emilia“ p. *Al. Kamińskiego*.

„Wprowadzenie muzyki na dwór Zygmunta I przez królowę Bonę“ p. *Kazimierza Mireckiego* jest obrazem znacznych rozmiarów, skomplikowanej kompozycyi. We wspaniałym krużganku trzydzieści kilka postaci grupuje się malowniczo; kostiumy bogate i urozmaicone, koloryt umiarkowany, ale nie bez siły. W tem wszystkiem jednak mało treści, a i ta która jest, niedokładna. Że i przed królową Boną muzyka na dworze królewskim w Polsce była w użyciu, o to się zapewne nikt nie będzie spierał; królowa Bona mogła tylko rozszerzyć jej uprawę, dać nowe zastosowanie. Tymczasem tytuł obrazu mógłby mniej świadomych w błąd wprowadzić, jakoby muzyka przyszła do Polski dopiero wraz z pietruszką i selerami, które podobno sprowadziła królowa Bona. Jak tam bądź, sam przedmiot zamało ma pierwiastku dramatycznego i służy tylko do przedstawienia pompy dworskiej i bogatych kostiumów. Tych też tam dosyć, ale muzyki mało: treść zapowiedzianą tytułem reprezentują— dwie gitary.

„Ścięcie Samuela Zborowskiego“, obrazek p. *Wandalina Strzałeckiego*, może być próbką pewnych zdolności młodego artysty, ale z tak szczupłym zasobem techniki i z tak naiwnem przedstawieniem faktów historycznych lepiej nie występować publicznie, a przynajmniej mniej trudne obierać temata należy. Komitet przyjmując ten obraz na Wystawę nie wyświadczył przysługi panu *Strzałeckiemu*: chyba miał na celu pokazanie jak malować nie należy.

Po lewej stronie obrazka stoją: Zborowski, kat i jego pomocnik w czerwonych płaszczach z błyszczącemi toporami i mieczami; grupa ciekawych, za nimi dzieci nadbiegłe niby na krwawe widowisko; po prawej dygnitarz w sutym polskim stroju, przy karabeli drogiemi kamieniami nasadzanej w towarzystwie sekretarza i pachołka. Jeżeli to ma być scena wizyty Zamojskiego, przed straceniem więźnia to obraz bardzo niedokładne jej daje wyobrażenie.

Stali goście Wystawy pamiętają na niej zapewne mały ale miluchny obrazek, wystawiony przed pięciu czy sześciu laty: „Gerwazy i Protazy“ p. *Bolesława Łaszczyńskiego*. Jedyna to była, o ile mi wiadomo, nadesłana tu praca tego artysty; jedyna też to ze znanych mi udatna illustracya p. Tadeusza. Obecnie po długiej przerwie p. Ł. nadesłał nam nowy swój utwór „Ostatnie chwile Fryderyka Szopena“. Kompozycya to znacznie większa, treść poważniejsza, a w wykonaniu widać wielką techniczną wprawę. P. Ł, widać dużo i korzystnie przez ten czas pracował; zyskał mianowicie pod względem siły i soczystości kolorytu. Staranne wykończenie nie przeszło w twardość lub dysharmonię szczegółów, jak to się często zdarza. Pomysł nie oryginalny, niemniej przeto jest sympatycznym. W głębi po lewej stronie obrazu spoczywa na łożu znękany chorobą mistrz tonów; podtrzymuje go jeden z przyjaciół, obok na fotelu siadł drugi, w niemej boleści pogrążony; u nóg łoża na fotelu, poważna postać, księżna Marcellina Czartoryska, z troskliwością matki wpatruje się w lica chorego; po prawej stronie obrazu grupa osób przy fortepianie, akcyą i postawą połączona z poprzednią. Główną figurą tej grupy jest hrabina Delfina Potocka, śpiewająca aryę ze Stradelli na żądanie umierającego. W jednym ręku trzyma nuty, drugą twarz sobie zasłania: widać że to śpiew ze łkaniem połączony. Artysta zręcznie uniknął tu trywialności, jaka prawdopodobnie wynikłaby przy innem upozowaniu tej postaci.

Wizyty mecenasów w pracowni artysty, lub wizyty artystów u mecenasów, ciągle jeszcze stanowią ulubiony temat naszych malarzy. Do wyliczonych tego rodzaju kompozycyi w poprzedniem naszem sprawozdaniu, przybył jeszcze jeden, pana *Eliasza Walerego*, „X. Franciszek Leksycki w czasie odwiedzin pracowni przez rodzinę Zebrzydowskich, jego mecenasów“. Sztalugi z obrazami, mnich pokornie stojący na boku, i przyglądający się wielki pan i wielka pani z synkiem i z kilkoma osobami ze świty, składają całość tej akwarelli, wykonanej z talentem, ale bardzo ubogiej pomysłem.

Pana *Antoniego Kozakiewicza* „Opuszczona“ jest dowodem że można bez nagromadzenia postaci, bez skomplikowanej kompozycyi, osiągnąć wysoki stopień dramatyczności. Na kamieniu, oparłszy głowę o zimny, nagi mur, siedzi młoda jeszcze, ale wynędzniała kobieta w łachmanach: u nóg brudne jakieś zawiniątko i koszyk; na kolanach polnych kwiatów garstka. Przymknęła znużone powieki i marzy. Przeniosła się myślą w chwile krótkiego szczęścia; może do cichych błogich dni, pędzonych obok matki, kiedy zebrane polne kwiaty były jej najżywszą rozkoszą. Szczęśliwa jeszcze — póki jej chłód i głód do twardej rzeczywistości nie zbudzi!..

Tegoż artysty „Bez chaty“ przedstawia obszerną równinę. Z kilku domków, jakby początek wsi stanowiących, błyska przez szyby ponętny ogień, wśród zapadającego mroku. Na prawo wóz chłopski, zaprzężony w dwa koniki z rodziną wieśniaczą. Obok kilku z przybyszów urządza ognisko pod odkrytem niebem. W środku obrazu grupa żwawo rozprawiających osób, wśród których główną postać stanowi myśliwy z strzelbą przewieszoną przez ramię i psem legawym obok. Uznając zalety wykonania, piękny koloryt, perspektywę, zarzucić musimy, iż treść niedość jasno się przedstawia.

Tegoż artysty akwarelle: „Protazy“ odczytujący pozew a zerkający na konopie, i „Gerwazy“ śpiący pod murem zamku z pękiem kluczy u boku (pendant do poprzedniego) świadczą o darze charakterystyki, joko też o biegłości pana K. w tym rodzaju malarstwa.

P. *Aleksander Kotsis* znany z tylu już pięknych utworów, życie włościan odwzorujących, nadesłał nowy swój obraz: „Zagroda“. Z talentem mistrzów holenderskich, mamy tu przedstawione podwórko wieśniacze, szopę i mnóstwo gospodarczych rekwizytów pod ścianą chaty. Dzień na schyłku. Kobieta doi krowę, której dziewczyna tymczasem podaje garście siana, dalej wyrostek zajęty mocno przywiązywaniem bata. Chłop, tylko co przybyły z targu, podaje kilkoletniemu w koszulce malcowi kupioną bułkę chleba, większą prawie niż ów chłopak. Przez otwarte wrota wchodzi jeszcze kilka drugoplanowych postaci. Ruch duży, postacie żyją, koloryt jasny i wesoły.

Oto inny, z natury czerpany raczej humorystyczny obrazek pana *Alfreda Kowalskiego*, zatytułowany: O „świcie“. Bladawy świt z trudnością przedziera się przez gęstą mgłę jesienną. Po szosie toczy się ciężki wóz frachtowy. Starozakonny woźnica, po niedospanej nocy uległ wpływowi monotonnego ruchu i zapewne monotonnej muzyki swego brzękliwego wehikułu i zasnął smaczno. Fatum, wyższy porządek rzeczy w postaci pocztyliona, mści się nad tą jego ludzką ułomnością; smagnięciem bicza karci za niezjechanie z drogi, mimo natrąbywania. Łamanie się światła z mgłą jesienną i cała charakterystyka poranku dobrze oddana, ale ruch pocztyliona, który raczej szturcha biczyskiem niż chlasta biczem, zdaje się fałszywym.

„Niebezpieczny“ jestto młody artysta, jaskrawo ubrany, odtwarzający rysy pozującej na podwyższeniu młodej kobiety. Że niebezpieczny, widać to z zapatrzenia się pięknego modelu, którego szkoda że artysta, p. *Kazimierz Mirecki*, ciałem i krwią nie obdarzył. Poza wymuszona i pretensyonalna, jest niewłaściwą, gdy nie leżała w zamiarze artysty. Chyba że to ma być humorystyka, ale do tej znowu żywiołów zamało.

Tegoż artysty „Amatorka kwiatów“ podobnąż bezkrwistością grzeszy. Ręce i szyja jak drewniane. Poza stojąca, z ręką i głową wyciągniętą ku kwiatom wiszącym w wazoniku, jest wdzięczna, draperye dobre, ale brak plastyki i wykończenia.

P. *Heyman Stanisław* w kompozycyach drobniejszych rozmiarów dużo okazuje talentu. Nowy jego utwór „W samotności“, przedstawia młodą dziewicę zadumaną, zwolna kroczącą wśród gęstej zieleni. Harmonijny koloryt, właściwy wyraz twarzy i niewymuszona postawa młodej osoby, stanowią zalety tego obrazka.

„Corpus delicti“ p. *Zygmunta Sidorowicza*, przedstawia zafrasowaną pensyonarkę, której mama wydobywa z nesessera jakąś zakazaną korrespondencyę, illustrowaną fotografią młodego człowieka. Postać mamy bardzo dobrze obmyślana i wykończona należycie, akcessorya odpowiednie; postać panienki grzeszy brakiem charakterystyki.

Jeżeli p. *Piotrowski Antoni* w swojej „Sielance z Podlasia nad Bugiem“ chciał uidealizować prostotę, to chybił o kilka tonów. Brak prawdy, brak natury, sprawia, iż jego drobny utwór jest wstrętną mięszaniną ordynarności z sentymentalnością. Młoda wieśniacza para romansująca przy płocie, łączy hebesowaty wyraz twarzy z przykładaniem ręki do serca i tym podobnemi krygowaniami, o jakich nasz lud niema wyobrażenia. Radzimy ściślejsze studya, nietylko kostiumów i typów, ale i obyczajów i charakterów.

Obrazek p. *W. Łosia* „Czumaki w drodze“ przedstawia szereg ładownych wozów i furmanów rozmawiających z ludem ukraińskim pracującym w polu. Ludzie tak bierną tu grają rolę, iż obraz ten właściwie jest krajobrazem, ale koloryt równie martwy jak treść sucha.

P. *Antoni Zaleski* w dwóch małego formatu obrazkach dał nam wizerunek dwóch „Jeźdźców“ na dzielnych rumakach. Jeden w pełnym galopie naciera z szablą w ręku, drugi w ucieczce, tylko co wypuścił strzałę z cięciwy. Przyznać trzeba, że dawniejsi wojownicy i ich sposób prowadzenia wojny, wdzięczniejszy stanowią temat dla malarza, niż teraźniejsi. Długie szeregi jednostajnie mundurowanych ludzi, rzucających na siebie pociski mniej więcej o milę; armaty olbrzymie lub kartaczownice, w nadzwyczaj monotonny sposób śmierć zadają. Przeszło to w fabryczną uprawę, tak jak cały przemysł nowożytny; zapewne prędzej prowadzi do celu, ale dla malarza się nie nadaje. Wszystkie nowoczesne bitwy: pod Sadową, pod Wörth, czy pod St. Privat, jednakowo wyglądają i śmiało można zmieniać podpisy jednej za drugą.

P. *Redlich* dostarczył dwa maleńkie obrazki olejne dobrze namalowane. Z tych „Krytycy“ odznaczają się silną charakterystyką i ożywionem ugrupowaniem. Para młodych osób „Czytających“ na

ławeczce w ogrodzie, równie dobrze, choć z mniejszą werwą oddana.

Tegoż artysty dwa portrety przedstawiają mężczyznę w sile wieku piszącego i matronę. Pędzel zdradza jeszcze brak uprawy przy szerszych rozmiarach płótna.

Znaczna liczba portretów charakterystycznych, zapełniających obecnie salę Wystawy, zdaje się świadczyć, iż portretowanie wychodzi z rutyny; iż artyści coraz rzadziej poprzestając na stereotypowem odwzorowywaniu fizyonomii, starają się, bądź za pomocą właściwej pozy, bądź przez dodawanie akcesorów, wzmacniać charakterystykę twarzy portretowanych, a portret przez to zbliżać do znaczenia kompozycyi artystycznej; są też i utwory ograniczające się do ściśle portretowej formy, a zasługujące na nazwę przedniejszych utworów portretowego malarstwa.

Dwie prace p. *Horowitza Leopolda* „Portrety dzieci“ i „Portret mężczyzny“ mogą służyć za wzór pierwszego i drugiego rodzaju. W pierwszej widziemy chłopczyka siedzącego przy stole i dziewczynkę nóżkami wspartą na krześle, a wpółleżącą na stole, jak to bywa dzieci zwyczajem. Chłopczyk głaska łeb dużego czarnego psa. Układ jest pełen naturalności i prostoty, a zarazem elegancyi i gustu. W twarzach dzieci maluje się intelligencya i swoboda ich wiekowi właściwa. Koloryt jasny, tinty delikatne, robią wrażenie pastelu, przy zachowaniu siły olejnemu malarstwu właściwej. Drugi obraz przedstawia mężczyznę o siwiających już bokobrodach z twarzą delikatną, pełną ekspresyi, dobrze od tła czarnego odbijającą. Karnacya, plastyka, światłocień w obu tych utworach nic nie pozostawiają do życzenia.

Portrety p. *Ignacego Jasińskiego* śmiało do współzawodnictwa z powyższemi stanąć mogą. Mniej miękkości ale więcej siły posiadają. „Portret mężczyzny“ o siwiejących bujnych blond włosach, dużych wąsach i bródką u dolnej wargi, pełen ekspresyi. Silną plastyką, naturalną pozą i wykończeniem odznacza się „Portret damy“ w czarnej jedwabnej sukni i drugi młodej blondynki, biało ubranej.

P. *Maleszewskiego Tytusa* portrety cechuje miękkość pędzla; świetna karnacya, rysunek jednak wiele pozostawia do życzenia. Efektowne jego utwory zwracają uwagę zwiedzających Wystawę i budzą uwielbienie w części tylko usprawiedliwione. Jego „Portret młodej kobiety“ naturalnej wielkości wykończony widocznie con amore. Dotknięcia pędzla przypominają pastelistę. Młoda osoba o delikatnej i rumianej cerze twarzy, błyszczy zdrowiem i zadowoleniem, tonie w obfitych i pięknie wykończonych draperyach białej sukni z lilowemi okładami i falbanami; sznur pereł w ręku, bogate kolczyki w uszach, branzoleta na pulchnej ręce; resztę tła wypełniają draperye z szalów, dywanów i t. p. Całość robi zgodne harmonijne wrażenie. Jestto niezawodnie jeden z najlepszych utworów Maleszewskiego. Drugi „Portret damy“ blond, wpółosłoniętej futrem, razi błędnem narysowaniem ręki i szyi.

„Ginia i Kruczek“ pastel tegoż artysty, przedstawia wdzięczną różaną główkę dziewczynki pieszczącą czarny łep pieska. Kontrast ten, dość często używany, niezmiernie podnosi charakterystykę dziecka i zwierzęcia.

P. *Karola Millera* jeden tylko znaleźliśmy na Wystawie „Portret damy“, w niebieskiej sukni, z różą u szyi i z perłami na głowie. Koloryt ciepły, karnacya twarzy i wdzięczna poza zalecają ten utwór.

Nie rozumiemy dla czego p. *Buchbinder* szereg swoich charakterystycznych portretów, nadesłanych na Wystawę, nazwał studyami z natury, gdy jednocześnie postacie portretowane przybrał w średniowieczne stroje. Studyum z natury zdaje się oznaczać coś współczesnego artyście, trudno więc pod tę kategoryę zaliczyć popiersie mężczyzny zakutego w średniowieczną zbroję i drugiego w staroniemieckim stroju. Trzecie studyum: mężczyzna z brodą w zawoju mogło być gdzie na Wschodzie upatrzone, choć z powyższych dwóch przykładów wnioskując, natura ta równie jak i tamta skomponowana została w pracowni artysty. Bądź co bądź o nazwę spierać się nie będziemy, kiedy sama rzecz dobra. Jędrny to pędzel i bogaty w szczegóły; pełen siły i delikatności. Podobnemiż przymiotami zaleca się głowa kobiety blond.

P. *Aleksandra Piątkowskiego* studyum z natury podpada pod tęż kategoryę co i studya poprzednie. Młody przystojny brunet w czarnym hiszpańskim stroju trąci przyborem teatralnym, mimo to, przyznać należy, iż dobrze jest namalowany.

Pani *Dukszyńska* dostarczyła także szereg charakterystycznych portretów, przechodzących już w *genre*. „Cyganka“ młoda o dużych, pałających, czarnych oczach i opalonej cerze, w czerwonej czapeczce, bramowanej w około twarzy pieniędzmi i medalami, w wyszywanej koszuli, z tamburynem na kolanach opartem na jaskrawej wełnianej chustce, jest może za efektowna; chyba że styl ma odpowiadać przedmiotowi. „Staruszka z kurą“ jest z wyrazu twarzy i ubioru wiernym typem naszych wieśniaczek, tak samo jak i druga młodsza „Wieśniaczka“ w chustce zarzuconej na głowę.

W tych pastelach, równie jak i w „Portrecie damy“ wygorsowanej, z żółtemi różami we włosach i u piersi, większą widać miękkość niż w dawniejszych utworach tej artystki, większe sharmonizowanie tonów.

Krajobrazów nowych a pięknych niewiele zastaliśmy na Wystawie. Pierwsze miejsce zarówno z rozmiarów jak z wykonania należy krajobrazowi pana *Szermentowskiego*. Trochę wody trzciną zarosłej, dalej kępy drzew, poza któremi przedzierające się światło słoneczne zagłębia perspektywę, to cała treść, niebogata; ale woda jest doskonale namalowana, drzewa piękne tworzą gruppy, światła i cienie, zdaje się, mkną po obrazie, a całość pełna ekspresyi, będącej tem dla krajobrazu czem jest akcya dla innych utworów pędzla.

P. *Swieszewskiego* „Przy zachodzie“ jest obrazek tak zwanych gabinetowych rozmiarów, zwykle używanych przez tego artystę. Obszerna przestrzeń wody kończy się kępą drzew, przez które jeszcze widać wodę i zapadającą w nią tarczę słoneczną, czerwonawe rzucającą blaski.

P. *Feliksa Brzozowskiego* „Ranek“ także przedstawia wodę; w głębi przez most sunie ciężka bryka furmańska. Główną zaletą tego obrazu jest powietrze przejrzyste, głębokie. „Krajobraz z okolic nadwiślańskich“ p. *Brochockiego* trochę pessymistycznie reprezentuje nasze Powiśle. Piaszczysta rozjechana droga, po bokach rozłożyste topole, w głębi trocha lichego zboża; wszystkoć to bywa i dosyć często, ale bywa i lepiej. Obok tego realistycznego skopiowania natury, mamy p. *A. Gramatyki* dwa krajobrazy przedstawiające chatki, ukryte w gęstwinie leśnej, kompozycya nie odjęła tam prawdy, i utwory te mile nęcą oko. P. G. poprzednio próbował sił swoich w religijnych i historycznych tematach, sądzimy, że niema powodu schodzić z tego kierunku artystycznego, w którym już ukazał zdolności. Pejzaż zapewne jest tylko wytchnieniem dla jego pędzla.

W dziale rzeźb napotkaliśmy kilka nowości. P. *Godeckiego Teofila* „Anioł stróż“ jest haut relief w niszy owalnej. Postać anioła trzyma w jednym ręku tarczę, na której oko Opatrzności, a w drugim miecz płomienisty. Godła to odpowiednie, całość w szlachetnym utrzymana stylu dobre robi wrażenie.

Takaż rzeźba pana Nowakowskiego „Madonna“ z białego marmuru, odstępuje od stereotypowych reprodukcyi tego rodzaju. Cała postać Najświętszej Panny tonie w obfitych draperyach, dobrze wykonanych; Dzieciątko Jezus, prawie horyzontalnie trzymane, uśpione na rękach Matki, bardzo dobrze pomyślane tylko w wykonaniu kilka usterek, np. ramię zapłaskie. Nie harmonizuje z tą piękną całością twarz Matki Boskiej, której artysta nie nadał wyrazu czułości; nie złączył jej spojrzeniem ze śpiącą Dzieciną.

Tegoż artysty marmurowe popiersie „Kopernika“ zaleca się dobrą modelacyą i wiernem odtworzeniem podobieństwa do pozostałych wzorów.

Pomysł p. *Jana Kryńskiego* kombinowania marmuru i bronzu do popiersia „Murzynki“ wcale nie należy do szczęśliwych; różnorodność materyałów zniża utwór sztuki do rzędu sztuczki; jest to realizm najgorszego gatunku.

„Marzycielka p. *Teodora Gundelacha* przedstawia nam się w postaci młodej dziewczyny, (trzy czwarte naturalnej wielkości), siedzącej z założoną nogą lewą na prawą, obrywającej listki z kwiatka i tak zadumanej, że nie pomyślała o jakiejkolwiek choćby najmniejszej dla swej nagości obsłonie. Zdaje mi się, że nikt się do marzeń nie rozbiera; właściwszy więc byłby tytuł: kąpiąca się; nimfa nad wodą, lub coś podobnego. Mniejsza o to jak się tam zwie, bo nic łatwiejszego jak tytuł przemienić; zawsze pozostanie kompozycya bez ściśle określonego charakteru; zatrzymujemy się zatem w ocenie przy tem tylko, co jest wyraźnie określone, to jest przy postaci młodej kobiety. Jako takiej, model gipsowy p. G. nie odznacza się ani anatomią, ani modelacyą, ani stylem.

„Pomnik Moniuszki“ p. *Cypryana Godebskiego* jest, jeżeli nas pamięć nie zawodzi, pierwszym tych rozmiarów i tej wartości utworem, w skromnym oddziale rzeźb naszej Wystawy. Podstawę stanowi filar z szarego marmuru, do niego z przodu przyłącza się sarkofag ciemniejszej barwy z tablicą i krzyżem u góry z przewieszonym na nim wieńcem z nieśmiertelników. Na filarze ponad sarkofagiem wznosi się kolosalna postać Muzy z księgą u nóg, w fałdzistej draperyi, z lirą w opuszczonych i połączonych rękach i z wieńcem nieśmiertelników. Na głowie nieco pochylonej wieniec akantusowy i zasłona na szyję spadająca. Postać wspaniała i szlachetna, twarz rozumna w łagodnem, smętnem zadumaniu; bogate draperye bardzo pięknie wykończone. Utwór to niewątpliwie wysokiej wartości i żałować należy, iż dotąd nie znalazł odpowiedniego stałego pomieszczenia. Ś. p. Moniuszko zasłużył na pomnik zarówno genialnemi swemi kompozycyami muzycznemi, jak i życiem pobożnem i moralnem. Kościół jest naturalnym przytułkiem dla tego rodzaju utworów sztuki, poświęconych pobożnej pamiątce wiernych, zmarłych w jedności z Kościołem, a odznaczonych zasłużoną sławę. Na cmentarzu wpływ naszego zmiennego klimatu prędko niszczy ów marmur, noszący przydomek: „niespożyty“.

W. B.

Sprostowanie.

W numerze 44 „Bluszczu“ w artykule p. t.: *Przegląd teatralny*, na stronicy 350 w szpalcie 1-ej, wiersze 49—53-go mylnie zostały wydrukowane, przeto je dziś tak jak być powinny podajemy:

Panna Popiel dała nowy dowód, że jako utalentowana artystka da sobie radę z rolą wchodzącą właśnie w ścisły zakres dramatyczny; co prawda, rola Berty jest tu jedną z wcale wdzięcznych.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści Middlemarch.

TREŚĆ: Słońce nad lasem, (poezya). — **Wykształcenie kobiety we Włoszech.** — **Niewiasta polska**, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego. — **Historya o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Korespondencya zagraniczna**, przez B. L. — **Przegląd wystawy towarzystwa zachęty sztuk pięknych**, przez W. B.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою 28 Октября (9 Ноября) 1874 г.